

PAWEŁ GOŁUCH

ELWIN 13

400 LAT PO UPADKU

d





ELWIN 13
400 LAT PO UPADKU

Autor:

Paweł Gołuch

Ilustracje:

Magda Nikolas

Redakcja:

Agata Tokarska

Korekta:

Dominika Wilk

Skład i opracowanie graficzne:

Anna Brodziak


ISBN 978-83-66977-98-3

© 2024 Dreams Wydawnictwo

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-016 Rzeszów
www.dreamswydawnictwo.pl

Rzeszów 2024, wydanie I

Druk: Mazowieckie Centrum Poligrafii

Książkę wydrukowano na papierze Ecco Book cream 2.0 70 g/m²
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o. 

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.



PAWEŁ GOŁUCH
ELWIN 13
400 LAT PO UPADKU

Ilustrowała
Magda Nikolas

Dla Piotra i Szymona

*W najdłuższy dzień roku
do miasta stu mostów
tajemnic powiernik powróci.
Szlachetny przyjaciel
odnajdzie, co zgubił,
przed ogniem nie cofnie swej stopy.
Pokłonią się przed nim
zmienione istoty,
on drogę do skarbu im wskaże.*

Sygnal radiowy nadawany z orbity okołozemskiej
w pierwszym półroczu 2462 roku

*W najdłuższy dzień powróci z gwiazd
Połaniec, niosący odpowiedź.
Obudzi się, w tym spośród miast,
gdzie mostów i skrzatów jest mrowie.
Pradawny smok przeszłości mgłą
łopotem swych skrzydeł rozwieje.
Pokona syn demony złe
i ludziom przywróci nadzieję.*

Przepowiednia Klanu Błękitnego Liścia

Rozdział 1

TORNISTER

Wrocław, dzielnica Fabryczna
październik 2023

Potężna horda mózgożernych zombie zaatakowała kryjówkę ocalałej z apokalipsy grupy ludzi. Obrońcy odpierali ataki nieumarłych na wszelkie możliwe sposoby, a mimo to liczba napastników wydawała się nieustannie rosnąć.

Daniel zaczynał powoli żałować, że gromadzone z mozołem materiały przeznaczył na budowę katapulty, zamiast postawić przed obozem barykadę z drutu kolczastego i zaostrzonych pali. Wprawdzie ta machina potrafiła miotać wraki samochodów, co pozwalało skutecznie razić mocniejszych przeciwników, ale w przypadku morza nieumarłych pożytek był z niej raczej niewielki.

Chłopiec bezradnie patrzył, jak kruszy się postawiony naprędce mur z cegieł, kamieni i kawałków betonu. Czuł, że za chwilę wszystko się skończy, a jego starania, by utrzymać przy życiu siebie oraz kilkunastu przerażonych niedo-bitków, ostatecznie nie miały najmniejszego sensu. Cztery dni – tylko tyle udało im się wytrzymać.

Nagle rozległ się przeraźliwy ryk. Na ten dźwięk żywe trupy rozpierzchły się we wszystkie strony, a spoza zrujnowanej kamienicy naprzeciwko wyłonił się największy zombiak,

jakiego Daniel widział od czasu, gdy cały świat stanął na głowie.

Zważywszy na to, że nieumarli byli wcześniej zwykłymi ludźmi, wydawało się całkowicie nielogicznym pojawienie się pięciometrowego zgnilaka, jak pieszczotliwie nazywał zombie Daniel. Twórcy gry najwyraźniej jednak nie przejmowali się tak mało istotnymi rzeczami jak logika, stawiając na pierwszym miejscu dobrą zabawę. Nieumarłe monstrum, wywijające grubym łańcuchem, na którego końcu dyndała kotwica okrętowa, zmierzało w stronę obozu właśnie po to, by zapewnić jego obrońcom ogromną porcję frajdy.

Przeciągnął palcem po ekranie smartfona, ładując na katapultę zdezelowanego pick-upa. Może jej budowa nie była aż tak złym pomysłem, jak sądził jeszcze przed chwilą. Ustawił siłę oraz kąt wyrzutu, po czym zwolnił mechanizm, wysyłając starego dodge'a w jego pierwszą i zarazem ostatnią podróż lotniczą. Ważący ponad dwie tony pojazd zatoczył w powietrzu łuk i ku uciechu ocalałych trafił obrzydliwe monstrum.

Zgnilak przyjął potężny cios na klatkę, mocno się zachwiał, ale ostatecznie zdołał utrzymać równowagę. Ryknął z oburzeniem i ponownie ruszył do ataku. Czerwony pasek ponad jego głową informował, że stracił właśnie niemal połowę swoich punktów życia.

Ulicą Onufrego Zagłoby, obok idącego chodnikiem Daniela, przejechał samochód. Chłopak na moment oderwał wzrok od ekranu, odruchowo spojrzął na czerwony pojazd, po czym wrócił do obrony wirtualnego obozu.

Rodzice kategorycznie zabraniali mu korzystania z telefonu w drodze ze szkoły i do niej, ale on sam nie widział

w tym nic złego. Ulice osiedla świeciły o tej porze pustkami, a chłopak przez cały czas szedł grzecznie chodnikiem.

Poza tym była to właściwie jedyna okazja w ciągu dnia, aby w spokoju zagrać w *Zombie Defense Deluxe*, nową grę z gatunku „obrona obozu”, osadzoną w opanowanym przez chodzące trupy świecie przyszłości. W szkole obowiązywał zakaz używania telefonów pod groźbą nagany, a w domu, kiedy tylko rodzice nakrywali go na korzystaniu ze smartfona, zaraz dowiadywał się, że jest „uzależniony od tego zadostwa”. Potem zaczynały się wywody na temat egzaminów ósmoklasisty oraz drogocennych punktów na świadectwie, bez których załapanie się do wybranej szkoły średniej było absolutnie niemożliwe. Zamiast grać w ogłupiające gierki, powinien przysiąc do książek, a najlepiej wziąć udział w jakiejś olimpiadzie przedmiotowej. Eh...

Skręcił w ulicę Berberysową, równocześnie ładując na katapultę zardzewiałego forda. Nieumarły olbrzym zarzucił kotwicę za mur i potężnymi łapskami szarpnął łańcuch, wyrwijąc spory fragment umocnienia. Kilkoro co odważniejszych zombie rzuciło się do powstałego w ten sposób wyłomu. Na polecenie Daniela część obrońców skoczyła do walki z intruzami, a pozostali próbowali w tym czasie załatać dziurę w murze. Chłopak napreżył wyrzutnię, celując w paskudny łeb potwora.

Kątem oka zauważył niebieski tornister...

Palec drgnął mu nieznacznie. Wystrzelony pod zbyt dużym kątem samochód przeleciał ponad gigantycznym zgnilakiem i rozbił się o kamienicę, burząc przy tym jej frontową ścianę.

To był tornister Julki...

Wyłączył aplikację. Nie chciał patrzeć, jak zombie niszczą to, co udało mu się zbudować przez ostatnie dwadzieścia minut. Trudno. Zaliczył w tej grze już kilka porażek i pewnie zaliczy jeszcze niejedną, zanim opanuje mechanikę rozgrywki w stopniu pozwalającym na osiągnięcie wyższego poziomu.

Schował telefon do kieszeni spodni i spojrzął na leżący obok krawężnika przedmiot. Błękitny szkolny plecak z napisanym na głównej komorze logo popularnej firmy sportowej bez wątpienia należał do jego koleżanki z klasy. Świadczyły o tym nie tylko kolor i marka plecaka, ale przede wszystkim doczepiony do uchwyty niewielki brelok w kształcie smoka.

Zielona, gumowa figurka, bardziej śmieszna niż straszna, leżała do połowy zanurzona w płytce kałuży pozostałej na jezdni po nocnych opadach. Julka zdobyła ją w Krakowie podczas ostatniej wycieczki klasowej. Wrzuciła pięciopolową monetę do jednego z tych automatów, które po obróceniu podłużnej gałki wypluwały z siebie losowo wybraną plastikową kulkę z zabawką w środku. Wprawdzie dziewczyna chciała, by z maszyny wypadł śnieżnobiały pegaz, ale z tego, co pamiętał Daniel, ucieszyła się również ze smoka.

Podniósł plecak i rozejrzał się wkoło w poszukiwaniu koleżanki, w zasięgu jego wzroku nie było jednak nikogo. Przez chwilę stał niezdecydowany, co powinien zrobić. Wreszcie postanowił odnieść zgubę do domu jej właścicielki. Mieszkali niedaleko od siebie, ale nigdy nie zdarzyło się, aby wrócili razem. Julia wybiegała ze szkoły jako jedna z pierwszych, a on miał zawsze czas. Zanim się przebrał i nagadał z kolegami, ona była już w połowie drogi do domu.

Może i lepiej. Dzięki temu nikt nie przeszkadzał mu w graniu, a poza tym, gdyby koledzy zobaczyli, że chodzą razem, mogliby uznać ich za parę i zacząć im z tego powodu głupio dogadywać. Choć, mówiąc szczerze, Julka nie była wcale taka zła. Jeszcze do niedawna dziewczyny zupełnie Daniela nie interesowały, ale ostatnio zaczął powoli odkrywać, że ich obecność na świecie nie jest jednak całkowicie pozbawiona sensu. Mimo to nawet wielogodzinne łaskotanie piórkami po bosych stopach nie zmusiłoby go do przyznania się, że piegowata koleżanka, niedbale wiążąca rude włosy w kucyk zwykłą gumką recepturką, nosząca dwie różne skarpetki i niemal bez przerwy żującą gumę balonową o smaku czereśni, odrobinę mu się podobała.

Maszerował ulicą Berbersową z błękitnym plecakiem w dłoni, wyobrażając sobie, jak oddaje zgubę koleżance, a ona z wdzięczności rzuca mu się na szyję i, kto wie, może nawet składa na jego policzku szybkiego czereśniowego buziaka.

Skręcił w Kmicica. Gdyby ktoś teraz wyjrzał przez okno któregoś z jednorodzinnych domów w pobliżu i zerknął na przechodzącego ósmoklasistę, zobaczyłby na jego twarzy szeroki, nieco głupkowaty, odsłaniający zęby uśmiech, sugerujący, że chłopak w drodze ze szkoły zgubił gdzieś swoją piątą klepkę. Na szczęście jedynym, który go obserwował, był stary, drzemiący w mijanym ogródku pies rasy mieszanej. Wielorasowiec przez chwilę zastanawiał się, czy nie obdarzyć uśmiechniętego przechodnia choćby krótkim warknięciem, ale ostatecznie uznał, że nie warto zwracać sobie nim głowy, opuścił łeb i wrócił do przerwanej drzemki.

Julia mieszkała w piętrowym domu, którego dwuspadowy dach pokryty był grafitową dachówką. Bezprzewodowy dzwonek przy furtce nie wykazywał żadnych oznak życia, w związku z czym Daniel wszedł na posesję, wspiał się po trzech stopniach na niewielki ganek i stanął przed drzwiami.

Z niezrozumiałych dla chłopca przyczyn jego serce zaczęło bić nieco szybciej, więc zrobił trzy głębokie wdechy, by je chociaż trochę uspokoić. Przez chwilę układał w myślach słowa, którymi chciał poinformować koleżankę o znalezisku, a gdy był już gotowy, poprawił trzymany w ręce plecak i nacisnął umieszczony obok drzwi wejściowych przycisk dzwonka.

Po kilkunastu nieznośnie długich sekundach dał się słyszeć zgrzyt zamka, a następnie dębowe drzwi, ozdobione wąskim, pionowym lustrem weneckim, otworzyły się na oścież. W progu stanęła mama Julki, trzymając na ręku jej półrocznego brata Kacperka, ubrudzonego na buzi bliżej niezidentyfikowanym produktem spożywczym.

– Dzień dobry – przywitał się chłopak, odrobinę zawieszony tym, że drzwi otworzyła mu starsza, a nie młodsza przedstawicielka rodu Majewskich. Element zaskoczenia wziął w łeb. Czereśniowy buziak nieco się oddalił.

– Dzień dobry, Danielu. Coś się stało? – Sąsiadka była wyraźnie zdziwiona tą niezapowiedzianą wizytą.

– Nie, nic takiego... – Chłopak się zmieszał. – Idąc ze szkoły, znalazłem na ulicy plecak Julki – wyjaśnił, unosząc zgubę – i pomyślałem, że go odniosę.

– Ale Julii... jeszcze nie ma – odparła niepewnie Majewska.

Po tych słowach zapadła dziwna, niepokojąca cisza. Mały Kacperek poruszył się niespokojnie na rękach mamy, której twarz stężała, a oczy z sekundy na sekundę robiły się coraz większe. W tych oczach Daniel zobaczył strach.

Wtedy właśnie zrozumiał, że stało się coś złego.

Rozdział 2

POSŁANIEC

Wrocław

21 czerwca 2462

Trzy... Dwa... Jeden... Pobudka, śpiący królewiczu – wyszeptał Szczota, wciskając równocześnie okrągły przycisk i przekładając niewielką wajchę na pozycję „OFF”.

Czerwona dioda umieszczona na przedniej ścianie komory hibernacyjnej zaczęła rytmicznie mrugać, ale poza tym nic więcej się nie stało.

– Na pewno zrobiłeś wszystko, co trzeba? – zapytała zniecierpliwiona Mira.

– Nie – odparł poirytowany. – Zapomniałem wsadzić sobie palec do nosa i zaklaskać uszami. – Spojrzał na nią karzącym wzrokiem. – Miałś się uczyć, a nie wymądrzać. To chwilę potrwa.

– Jak długo?

– Różnie. Może dziesięć, może piętnaście minut.

– Nie sądzę, byśmy tyle mieli. Za chwilę pewnie zleżą się tu jakieś robale. Ten kolorowy spadochron widać było z daleka.

– Nic na to nie poradzę! – Szczota podniósł głos. – To nie jest mrożone udko z karalucha. Dehibernacja to skomplikowany proces. Organy wewnętrzne muszą zostać pobudzone

do pracy, mięśnie odpowiednio natlenione i... jeszcze coś tam. Może nie jestem specem w tej dziedzinie, ale wybudziłem już kilka osób i wiem, że jak wyjmemy chłopaka za szybko, to możemy mu zrobić niezłe kuku.

– Skąd w ogóle wiesz, że to chłopak? – spytała, zaglądając przez owalną, brudną szybkę do wnętrza sarkofagu. – Przez to okienko niewiele widać.

– Tutaj masz imię oraz wiek pacjenta. – Postukał palcem w prostokątną płytkę z wygrawerowanym napisem.

– Elwin, trzynaście – odczytała na głos. – Trzynastolatek? Żartujesz sobie? – Jej twarz wykrzywiły zawód i zdziwienie, jakby w pudełku z prezentem na osiemnaste urodziny odnalazła figurkę plastikowego kucyka. – Szkoda, że nie przedszkolak, bo wtedy moglibyśmy chwycić się za ręce i zatańczyć w kółeczku, wesoło podskakując.

Szczota zignorował jej wybuch. Znał Mirę nie od dziś. Wiedział, że nigdy nie owija w bawełnę, tylko mówi, co myśli. Bardzo ją za to cenił. Wprawdzie czasem trochę przesadzała, przez co mogła uchodzić za grubiańską, ale to były tylko pozory. Przy bliższym poznaniu okazywała się oddaną przyjaciółką. Nikomu nie ufał tak, jak wygadanej koleżance.

– Po przebudzeniu może wydawać się trochę starszy. – Usiadł na podłodze i plecami oparł się o komorę. – Hibernacja spowalnia procesy starzenia do minimum, ale nie zatrzymuje ich zupełnie. Nie mieliście u siebie żadnego śpiocha?

– Jakoś nikt nie chciał ryzykować.

– U nas było kilku. Zaczęliśmy ich budzić mniej więcej w okolicach Saturna.

Mira rozejrzała się po wnętrzu kapsuły. W okrągłym pomieszczeniu, oprócz komory hibernacyjnej, ustawionej poziomo na środku, nie było w zasadzie nic ciekawego. Z sufitu zwisało kilka kabli, a na ścianach czerniały ekrany martwych obecnie komputerów. Wszystkie zbędne urządzenia automatycznie wyłączyły się po lądowaniu, by niepotrzebnie nie obciążać swoją pracą akumulatorów mionowych. Działał jedynie sarkofag i trochę aparatury diagnostycznej.

Przez wąski otwór drzwiowy i trzy malutkie okna wpadało do środka światło słoneczne. W jego promieniach widać było wirujące drobiny kurzu.

Niewielkich rozmiarów prom kosmiczny zaprojektowano tak, by krążył wraz ze śpiącymi ludźmi po orbicie okołoziemskiej i spadł na powierzchnię planety, kiedy zestaw czujników poinformuje komputer pokładowy o bezpiecznym dla organizmów żywych poziomie promieniowania. Następnie badany był skład powietrza, temperatura oraz szereg innych parametrów. W przypadku niestwierdzenia przez okres czterdziestu ośmiu godzin czynników zagrażających życiu i zdrowiu pasażerów uruchamiany był proces automatycznej dehibernacji. Prosty model, bez zbędnych wodotrysków. Jeden z najtańszych, a mimo to i tak niedostępny dla zdecydowanej większości przedstawicieli gatunku *Homo sapiens* przerażonych zbliżającym się Upadkiem. Ten konkretny egzemplarz przeznaczony był dla jednej osoby. Co za marnotrawstwo!

Mira po raz pierwszy miała okazję brać udział w przebudzaniu. I to od razu takiej szychy.

– Myślisz, że to naprawdę on? – spytała Szczotę, wskazując głową sarkofag.

– Ogrodnik nie ma wątpliwości.

– Pytałam, co ty o tym myślisz. Nie Ogrodnik.

Młody mężczyzna przymknął oczy, milczał przez chwilę, a następnie wziął głęboki wdech i głośno wypuścił powietrze, wydymając policzki.

– Miejsce i data lądowania się zgadzają – stwierdził, nie otwierając oczu.

– Ciągłe wierzysz w tę całą przepowiednię? – W jej głosie słychać było lekką drwinę.

– Oczywiście! – Odwrócił twarz w jej stronę i spojrzał na nią zdziwiony. – A ty nie?

– Zaczynam troszkę wątpić – stwierdziła gorzko. – Miał być potężny wojownik, który pomoże nam odbudować Ziemię i pokonać chuderlaków, a dostaliśmy jakiegoś dzieciaka o imieniu kojarzącym się z baśniowym księciem elfów.

– Nie oceniaj książki... – zaczął Szczota, lecz nagle urwał, bo na zewnątrz rozległ się jakiś rumor. – Sprawdź to! – rzucił do dziewczyny, podrywając się na równe nogi. – Ja spróbuję pogonić trochę naszego susełka.

Mira jednym skokiem dopadła do drzwi kapsuły i wybiegła na zewnątrz. Szczota kucnął przed komorą hibernacyjną, wsadził palce w płytkie wgłębienie pod mrugającą diodą i pociągnął do siebie metalową klapkę. Jego oczom ukazał się niewielki dotykowy ekran, na którego środku widniał niebieski, podłużny prostokąt, pokazujący postęp procesu dehibernacji. W tej chwili pasek wypełniony był mniej więcej w połowie. Dokładnie w pięćdziesięciu trzech procentach, o czym informowała umieszczona obok paska liczba.

Po kilku sekundach wskaźnik drgnął, a licznik urósł z pięćdziesięciu trzech do pięćdziesięciu czterech procent.

Za wolno.

Szczota dotknął symbolu koła zębatego w rogu ekranu. Pasek zniknął, a na jego miejsce wyświetlone zostały ustawienia programu wybudzania. Mężczyzna przesunął palcem po ekranie, przeglądając dostępne parametry. Odnalazł pośród nich czas stymulacji mięśni i zmniejszył go o połowę.

– To nadrobimy później – mruknął sam do siebie.

Delikatnie zwiększył dawkę tlenu dostarczanego do organizmu chłopca, a także wyłączył kontrolne pomiary ciśnienia krwi oraz tętna. Wreszcie dotknął napisu „Akceptuj”. Na ekranie ponownie pojawił się pasek postępu, teraz wypełniony kolorem w osiemdziesięciu sześciu procentach.

– Znacznie lepiej. – Uśmiechnął się pod nosem.

Mira wsadziła głowę do kapsuły, rękami opierając się o krawędzie otworu.

– Coś tu idzie – wydyszała. – Nie wiem, co to, ale na pewno się zbliża. Jak tam nasz pan „poważna książka z dziecienną okładką”?

– Obudzi się za jakąś minutę. Tylko będzie mu trzeba pomóc dojść do auta.

– To podjadę bliżej – rzuciła dziewczyna, odepchnęła się od framugi i zniknęła.

Szczota nadal kucał i bębniąc palcami po pokrywie sarkofagu, uporczywie wpatrywał się w mały ekran, jakby chciał siłą woli zmusić aparaturę dehibernacyjną do szybszej pracy. Sekundy dłużyły się niemiłosiernie.

Nareszcie na ekranie monitora wyświetliła się wyczekiwana liczba sto. Czerwona dioda zapłonęła ciągłym światłem, a pokrywa komory delikatnie odskoczyła. Towarzyszył temu

syczący dźwięk, jak przy otwieraniu słoika z zepsutymi przetworami domowymi.

Szczota szybko wstał, stanął obok komory i pociągnął wieko. Mimo upływu lat otworzyło się bez problemu. Mężczyzna nachylił się nad głowę chłopca, zdjął silikonową maskę, zakrywającą jego nos i usta i delikatnie poklepał go dłońmi po policzkach.

– Pobudka, młody, wstajemy – rzekł półgłosem. – Słoneczko już świeci, śniadanko na stole.

Chłopak powoli podniósł powieki, zamrugał i powiódł dokoła brązowymi oczami. Ujrzał nad sobą twarz z równo przyciętym zarostem i lekko garbatym, orlim nosem. Młody mężczyzna mógł mieć około dwudziestki. Jego głowa wygolona była po bokach i jedynie przez środek czaszki biegł szeroki na kilka centymetrów pas krótkich włosów postawionych na jeża. Przypominały one trochę szczotkę do szorowania podłogi albo pastowania butów.

Elwin zamlaskał, chcąc chociaż trochę załagodzić wiekową suchość w ustach, z wysiłkiem przełknął ślinę i wyraźnie zdezorientowany gapił się przez chwilę na pochylonego nad nim jegomościa.

– Michał? – spytał wreszcie ledwo słyszalnym, łamiącym się głosem.

Szczota znieruchomiał. Wpatrywał się w Elwina, jakby nie rozumiejąc, o co chłopakowi chodzi.

– No pięknie! Nasz bohater ma piżamę w żółte grochy! – Mira stała za plecami Szczoty i zaglądała do otwartej komory. – Może pod nią ma jeszcze pieluchę?

Mężczyzna drgnął nieznacznie, zaskoczony nagłym okrzykiem koleżanki.